

Teksty Drugie 1999, 6, s. 175-179



Gonić harcowników?

Andrzej Szahaj

Andrzej SZAHAJ

Gonić harcówników?

Z dużym opóźnieniem, wynikającym z długiej nieobecności w kraju, próbuję odpowiedzieć na tekst Włodzimierza Boleckiego zamieszczony w szóstym numerze „Tekstów Drugich” z 1998 roku (*Wyznania członka lokalnej wspólnoty interpretacyjnej*).

Przed wszystkim chciałbym podziękować mojemu polemisiście za trud włożony w napisanie tak twórczego tekstu (być może najbardziej twórczego, jaki wyszedł spod jego pióra w ogóle). Artykuł mojego autorstwa, który dał asumpt do tej erupcji pisarstwa Boleckiego (*Granice anarchizmu interpretacyjnego*, „Teksty Drugie” 1997 nr 6) miał całkiem wyraźny charakter prowokacji, stąd też każda nań reakcja cieszy jedynie moje nieczne serce prowokatora. Inaczej też niż Włodzimierz Bolecki, który czytelnikom odradza czytanie moich artykułów (idzie bowiem także o moją odpowiedź na głosy krytyczne zamieszczoną w numerze 4. z 1998 roku „Tekstów Drugich”), ja tekst mojego polemisty polecam wszystkim i z pełnym uznaniem się do niego odnoszę, aczkolwiek belkotliwość jego pierwszej części, choć zamierzona, powoduje we mnie mieszane uczucia. Z jednej strony bowiem bawią prześmiewcze wariacje na temat moich tekstów, obnażając naiwne założenia filozoficzne przyjmowane przez mojego Szanownego Polemistę (to chyba dobrze, bo pierwsza część tekstu miała wszak bawić, nieprawdaż?), gdy z drugiej strony inne fragmenty jego skrzącego się humorem tekstu raczej smucą, wskazują bowiem na to, jak mało z moich poglądów jego autor zrozumiał. Niewątpliwie jednak kawałek ciężkiego trudu został weń włożony, co widać, słysząc i czuć. A nadto upust wściekłości i jakimś innym trującym uczuciom Bolecki w nim dał, co wszak funkcję terapeutyczną spełnić mogło. W sumie więc to, co uczynił mi Bolecki, wielką mnie radością nappełniło, albowiem tezy moje wprost potwierdziło. Użył sobie bowiem mój polemista na tekście moim aż miło. No i bardzo dobrze, no i na zdrowie. Tyle tylko że nie zauważył, iż tym samym w pułapkę wpadł i używając tekstu mojego ku mnie dłoń swą wyciągnął i tak jakoś bokiem, ale jednak ku mnie

się zbliżył, jakby chciał przyjść do swego po swoje. Albo inaczej bym powiedział: w schizofrenicznym swym rozszczepieniu pozostając, jednej części swej natury popo-
folgował używając sobie, gdy druga tymczasem surowo kazała mu cenić i oceniać,
doceniać i rozważać, palcem pogroziwszy jednak główkę mą czarno-siwą
pogłaskać. I tak dwie w jednym Boleckiego natury walczą, jedna już przeze mnie
uwiedziona, druga jeszcze spimczona. Lecz dziwić się nie ma co, wszak honoru li-
teraturoznawstwa bronić przyszło, a to już tylko dla Wielkiego Literaturoznawcy
zadanie jest. I Bolecki spełnia je. Na pohybel harcownikom, co to bez pieczęci sto-
sownej, a może i dyplomu, o literaturoznawstwie pisać zamierzają i w organie sto-
sownym głos zabierać się ośmielają. Bo wszak schludne już przegródki mamy
i ogródeczki swoje; tu filozof sobie swoje kwiatki sadzi, tam literaturoznawca, jesz-
cze gdzieś politolog, a pod lasem to i socjolog coś ma. A wszystko ogrodzone, od-
dzielone, oplocone i wyznaczone, a gdy harcownik jakiś płot przeskoczyć zechce,
będzie z nim źle. Na Boleckiego natknie się. Hej!

* * *

1. W polemice Boleckiego widać wyraźnie elementy zupełnie niepotrzebnej hi-
sterii. Poza obrońcy honoru literaturoznawstwa jako takiego jest może efektowna,
lecz zupełnie nie na miejscu. Teksty moje, mające zresztą raczej charakter metaliteraturoznawczy niż literaturoznawczy, a nadto wyraźnie polemiczny, nie zaś sys-
tematyczny, jeśli do czegoś namawiają, to jedynie do zmiany statusu roszczeń teo-
rii literaturoznawczych, pogłębienia ich filozoficznej autorefleksyjności. Litera-
turoznawstwu jako takiemu nie są w stanie zagrozić najbardziej szalone i prow-
kacyjne pomysły, albowiem, jak każda inna praktyka naukowa, jest ono w stanie
sprawnie je zasymilować i uczynić jedną ze swych ofert. Jednak dymna zasłona
żargonu literaturoznawczego nie powinna przysłaniać problemów filozoficznych,
jakie się wiążą z poszczególnymi kwestiami rozważanymi w jego ramach. Nadto,
śmiem twierdzić, że każda dyscyplina, dla swej własnej higieny, potrzebuje ludzi z
zewnątrz, którzy pozwalają sobie wtrącać się w jej dyskurs. C h r o ń m y z a t e m h a r c o w n i k ó w , a n i e g o ń m y i c h .

2. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, aby zauważyć, że artykuły moje bazują na
podejściach dobrze ugruntowanych w humanistyce światowej (ilość przypisów wy-
raźnie pokazuje, że z tą moją autorefleksyjnością nie jest tak źle, jak to sugeruje
mój polemista). Ich ewentualna nowość może polegać na odmiennym ułożeniu
klocków, które są od dawna w grze (majsterkowałem zastanymi elementami,
robiłem to zatem, co robi się na ogół w kulturze, aby osiągnąć nowy efekt). To nie
mnie zatem należy zarzucać bezrefleksyjność, lecz raczej mojemu Szanownemu
Polemście, który nie był łaskaw dostrzec, że mówiąc o tekstach mam na względzie
ich strukturalistyczny sposób rozumienia, zaś mówiąc o interpretacji nawiązuję
do dorobku hermeneutyki.

3. Teksty moje przyjmują za oczywiste rzeczy w środowisku literaturoznawców
doskonale znane. Ich zadaniem nie było jednak oddawanie honoru tym, którzy
wcześniej o nich w Polsce pisali, bo tych jest legion, lecz jedynie uczulenie na rze-

Szahaj Gonic harcowników?

czy często pomijane (etyczny i polityczny wymiar interpretacji) oraz wyrażenie bez osłonek własnego zdania. Nawiasem mówiąc, nigdy nie sugerowałem, wbrew temu, co twierdzi Bolecki (s. 184), że moje podejście wyczerpuje w jakimkolwiek sensie problemy związane z interpretacją. Byłoby to śmieszne. Mogą one stanowić co najwyżej jeden z przyczynków do rozważań nad jej filozoficznym statusem.

Chorobą polskiej humanistyki jest prezentyzm. Moje artykuły były nieśmiałą i zapewne połowiczną próbą wyjścia poza schemat prezentyzmu poprzez wyraźne opowiedzenie się po jednej ze stron wchodzącego w grę sporu (dlatego spowodowały dyskusję, nie dyskutuje się z tekstami sprawozdawczymi). Tej, która uważa, że *n i c n i e j a w i s i ę n a m j a k o n i e z i n t e r p r e t o w a n e i b e z i n t e r p r e t a c j i n i c n a m s i ę n i e j a w i*. Były one próbą walki na dwa fronty: przeciwko strukturalizmowi z jednej strony i dekonstrukcji z drugiej. Przeciwno strukturalizmowi, albowiem nie da się utrzymać tezy, że istnieje tylko jedno znaczenie tekstu, przeciwko dekonstrukcji, albowiem jakieś znaczenie zawsze już jest. Za swą zasługę poczytuję sobie również podkreślenie znaczenia poglądów wybitnego teoretyka kultury, jakim jest Stanley Fish, w Polsce wciąż zbyt mało znanego. Być może wyklada się jego idee na pierwszym roku studiów polonistycznych, jak sugeruje Bolecki, podobnie jak i poglądy Richarda Rorty'ego, moje obserwacje podpowiadają mi jednak, że tak nie jest. Zaryzykowałbym nawet tezę mówiącą, że świadomość metodologiczno-teoretyczna sporej części środowiska humanistycznego w Polsce nie wykroczyła poza horyzont strukturalizmu. Nawiasem mówiąc, gdyby mój tekst był rzeczywiście aż tak banalny, jak to twierdzi Bolecki, to nie rozumiem, skąd tak wiele tak różnych nań reakcji. Z banałami się nie dyskutuje, co najwyżej wzrusza się ramionami. Trudno uznać np. polemikę Boleckiego za wzruszenie ramionami, raczej można by ją nazwać młóceniem na odlew. Nadto, mówienie od bardzo dawna o pewnych rzeczach nie może zamykać dyskusji. To absurd. Podobnie absurdalne wydają mi się uwagi Boleckiego dotyczące mojego rzekomego pouczenia literaturoznawców. Humanistyka jest, a przynajmniej winna być, areną krytycznego dialogu. A dialog to także spór i niezgoda, dla dobra prawdy ujawniane (tak, tak, dla dobra prawdy). Czasami mam wrażenie, że zapominamy o kapitalnym znaczeniu debaty czy dyskusji w życiu intelektualnym. Świetnie zdaje sobie sprawę, że uwagi powyższe są trywialne, jak widać jednak po ogólnym, naburmuszonym tonie polemiki Boleckiego (jak ktoś spoza gildii śmie z nami polemizować, a do tego jeszcze nie na kolanach?), trzeba je powtarzać w nieskończoność.

4. Co do spraw szczegółowych: mój tekst był raczej przeciw poetyce niż o poetyce, jeśli przez poetykę rozumieć coś innego niż interpretacja. To, co rzeczywiście banalne, to świadomość, że każdy tworzy taką poetykę, jaka jest mu potrzebna (dla jego teorii). Istnieje więc wiele poetyk, a każda jest na służbie jakiejś teorii, ta zaś wiąże się nie tylko z gustami literaturoznawczymi, lecz także z kwestiami aksjologicznymi, co próbowałem w tekstach swoich powiedzieć i co wcale takie banalne nie jest. Tekstów tych każdy może użyć dla swoich celów, także i po to, aby pokazać, do jakiej degrengolady intelektualnej prowadzi zauroczenie (pochodzącymi

sprzed wielu lat) nowinkami z Ameryki (dawniej powiedziałoby się: miazmatami burżuazyjnej pseudonauki). A jak wiadomo całe zło stamtąd (jak był łaskaw wyrazić się jeden z moich kolegów). Bolecki stara się wprawdzie sugerować, że moje rozważania są „kompletnie bezużyteczne wobec zadań, przed którymi staje krytyk, historyk czy teoretyk literatury (sztuki)” (s. 185), to jednak pisząc swoją polemikę i tak twórczo się w niej objawiając, zaprzecza sam sobie. Co więcej, mówiąc na zakończenie swego tekstu jeszcze raz o użyteczności (s. 186), przywołuje kategorię, którą wcześniej próbuje *explicite* zdyskredytować (s. 183). Trochę mnie też śmieszy *implicite* kryjące się w powyższych słowach Boleckiego przekonanie, iż cele te są z góry znane, dobrze zdefiniowane i nie budzące żadnych kontrowersji, a nadto, że on owe cele zna. Choć poza Wielkiego Literaturoznawcy wyznaczającego normy dla tej dyscypliny wiedzy jest mu wyraźnie bliska, to jednak nie chce mi się wierzyć, aby wszędzie była traktowana z pełną powagą. Już sam fakt, że tak kompetentna redakcja jak redakcja „Tekstów Drugich” zdecydowała się opublikować moje artykuły, mimo że budziły one w Boleckim jedynie wstręt, pokazuje, iż od pozy do rzeczywistości droga jednak na szczęście daleka.

5. Inna sprawa, że to, co Bolecki pozwolił sobie zrobić z moimi tekstami, świadczy jedynie o tym, że był słusznie, jak miemam, przekonany, iż znajdzie bez trudu wspólnotę interpretacyjną, która taki zabieg zaakceptuje, zaś jego pozycja w niej nie tylko nie dozna uszczerbku, lecz raczej się wzmocni. Wszystko to jedynie dobitnie pokazuje, że Bolecki swym zabiegiem interpretacyjnym potwierdza w całej rozciągłości diagnozę sytuacji wydaną przeze mnie (za Fishem). Kiepsko świadczy o jego autorefleksyjności to, że w „poważnej” części swej krytyki diagnozę tę *expressis verbis* odrzuca.

Z drugiej strony Bolecki nie do końca zrozumiał morał wypływający z podejścia Fisha, które podzielałam. W pewnym sensie bowiem podejście to pozostawia wszystko tak jak jest, w tym i literaturoznawstwo z całym jego bagażem teoretycznym, problematyzując jedynie filozoficzny status rzeczy przyjmowanych za oczywiste. Stara się ono pokazać, że jest on związany z procesami o charakterze społeczno-kulturowym, takimi np. jak kreowanie nowych wspólnot interpretacyjnych czy wybór określonego systemu wartości moralnych czy światopoglądowych. Stąd też za zupełnie nie na temat uważam te uwagi Boleckiego, które starają się pokazać brak mej wrażliwości na całą masę subtelnych narzędzi literaturoznawczych używanych przy operacjach interpretacyjnych. Nie problematyzują ich wagi i znaczenia, lecz raczej ich status filozoficzny, sugerując, że nie są to narzędzia przekazane nam jak gdyby przez opatrność, narzędzia neutralne teoretycznie i aksjologicznie. Są to nasze wynalazki, którym nie powinno się przypisywać absolutnego statusu, w ten sposób bowiem uzyskuje się wprawdzie metodologiczny spokój sumienia, lecz zarazem blokuje się sobie możliwość twórczej zmiany.

Co do sprawy kreowania wspólnot interpretacyjnych, to powiedziałbym, że proces ten, zresztą zupełnie niezgodnie z sugestiami Boleckiego, nigdy nie dokonuje się *ad hoc*, na zawołanie (jednak jakieś wspólnoty interpretacyjne już zawsze nie istnieją i doprawdy nie trzeba być prostodusznym, aby to dostrzec). Z reguły wy-

Szahaj Gonić harcówników?

maga wielu przesunąć w konfiguracji już istniejących wspólnot, wielu drobnych mutacji kulturowych, przygodnych procesów społecznych, a nawet politycznych. (Ów proces kreacji nowych wspólnot jest zresztą procesem fascynującym i czasem wydaje mi się, że, pomimo ogromnego dorobku socjologii literatury, wciąż lekceważonym). W tym sensie z tekstem *f a k t y c z n i e* nie można zrobić wszystkiego (wbrew temu, co czasami twierdzą dekonstrukcyjniści), jak to w swoich artykułach (znowu za Fishem) kilkakrotnie podkreślałem. Mój żart związany z interpretacją książki telefonicznej jako tekstu erotycznego miał jedynie pokazywać, że trudno wyobrazić sobie jednak kres tego, co *t e o r e t y c z n i e* zrobić z nim można (do czego można go użyć). Interpretacja Boleckiego dokonana na moich tekstach może liczyć na już istniejącą wspólnotę interpretacyjną obeznaną z literackimi chwytami z zakresu pastiszu, pamfletu itd., a nadto niechętnie podchodzącą do wszelkich nowinek filozoficzno-literaturoznawczych. Interpretacja książki telefonicznej jako tekstu poetyckiego takiej wspólnoty interpretacyjnej dla siebie nie znajdzie. Co do intencji autora itd., to kwestie te rozważane były już wielokrotnie i gruntowne przerobienie obowiązkowej lekcji strukturalizmu i poststrukturalizmu uczy, że sprawa autora i jego intencji jest co najmniej dyskusyjna, jeśli nie beznadziejna. Wystarczy zresztą lektura tekstu R. Barthes'a pt. *Od dzieła do tekstu* pomieszczonego zaraz obok polemiki Boleckiego ze mną, aby zaoszczędzić mi dalszych wyjaśnień, nie tylko skądinąd związanych ze statusem autora, ale i z większością innych spraw poruszanych w jego polemice. Gdy chodzi zaś o kwestię roli kompetencji w interpretacji tekstu, to powiedziałbym, że zróżnicowanie jej poziomu nie może stanowić, w moim mniemaniu, *o s t a t e c z n e g o* argumentu na rzecz trafności czyjejs interpretacji, a co najwyżej perswazyjnie wzmacniać przekonanie, że dysponujący nią reprezentanci określonych wspólnot interpretacyjnych mają prawo narzucać owym wspólnotom pewien paradygmat myślenia, dysponować większą mocą w procesie negocjacji prawdy. Słowem, im więcej kompetencji, tym więcej władzy (Foucault się kłania), tym więcej też możliwości kształtowania tego, co będzie uznane za prawdę w danym dyskursie. Być może dlatego wszyscy chcemy być kompetentni, albowiem wszyscy poszukujemy prawdy i... władzy?

Od redakcji:

Tą odpowiedzią Andrzeja Szahaja zamykamy dyskusję nad jego artykułem zatytułowanym *Granice anarchizmu interpretacyjnego* („Teksty Drugie” 1997 nr 6).